Wiem, że mogę zginąć

Z **Grzegorzem Gawlikiem**, podróżnikiem i przewodnikiem, rozmawia Jakub Terakowski

Właśnie wróciłeś do Polski...

…z Ameryki Środkowej.

Co tam robiłeś?

To była kolejna wyprawa w ramach Projektu 100 Wulkanów. Chcę – jak się łatwo domyślić – zdobyć ich sto, ale nie pierwszych lepszych. Przynajmniej połowa z nich musi być aktywna, a wszystkie nieprzeciętne i starannie wyselekcjonowane, do tego wyjątkowe pod względem klimatycznym, sejsmologicznym lub wspinaczkowym. Moją największą wadą jest perfekcjonizm. Walczę z nim, lecz bezskutecznie, więc póki co, chcę być z tej setki zadowolony. Na samej Etnie jest ponad 300 kraterów, każdy de facto jest wulkanem. Mógłbym zatem pojechać tam na miesiąc i błyskawicznie obwieścić zakończenie projektu, ale plan tak zrealizowany byłby dla mnie bezwartościowy.

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ NA DNIE

Skąd pomysł na ten projekt?

Przyszedł mi do głowy nagle, w 2006 roku, na dnie krateru Khorgo w Mongolii. Wulkany pasjonowały mnie od dawna. Interesowałem się geologią, jako dzieciak biegałem po śląskich, dymiących hałdach i marzyłem o tym, żeby zobaczyć prawdziwy wulkan. A to z polskiej perspektywy jest dość trudne, gdyż najbliższe znajdują się tysiące kilometrów stąd.

Khorgo był moim pierwszym wulkanem, wprawdzie nieaktywnym, wygasłym, lecz „prawdziwym". Jako jedyny z całej grupy zszedłem na jego dno. Tam wpadłem do jakiejś dziury, potłukłem się i wygramoliłem z trudem. Byłem cały poobijany, ale szczęśliwy. Spodobało mi się, więc postanowiłem, że zdobędę ich jeszcze 99. Nie miałem wówczas najmniejszego pojęcia, na co się porywam. Stwierdziłem tylko, że sto wulkanów brzmi fajnie i tyle. Nie przeszło mi przez myśl, że projekt tak się rozrośnie i będzie przygodą życia. Nie wiedziałem też, jak mało znane są wulkany, jak mało o nich wiemy i jak niewiele osób zajmuje się nimi, bada je i eksploruje. Na początku najważniejszy był dla mnie wymiar przygodowy i wspinaczkowy. Traktowałem wulkany jak góry, były dla mnie wyzwaniem, zdobywałem je. Równocześnie jednak poszerzałem wiedzę o nich i stopniowo uświadamiałem sobie, jak niezwykłymi są miejscami do badań i odkryć. Teraz najistotniejszy jest dla mnie aspekt naukowo-eksploracyjny. Znam wulkany, na których wierzchołku było przede mną zaledwie kilku ludzi. Wiele z nich zdobyłem jako pierwszy Polak, z innych mam absolutnie unikalne materiały fotograficzne i filmowe. Projekt jest przewidziany na 25 lat.

Ćwierć wieku? Dlaczego aż tyle?

Bo dotychczas udawało mi się zdobywać średnio cztery, pięć wulkanów na rok. Rachunek jest więc prosty. Nie zależy mi na szybkości, lecz na jakości. Projekt obejmuje dwie kategorie – główną i pomocniczą. Do głównej trafiają te spośród zdobytych przeze mnie wulkanów, które uznaję za wartościowe i zaliczam do honorowej setki. Natomiast w tabeli pomocniczej uwzględniam tak zwane „inne miejsca wulkaniczne" – pola lawowe, jaskinie wulkaniczne, obszary gejzerów oraz mniej istotne wulkany – niezbyt ciekawe, łatwo dostępne lub podobne do tych, które zdobyłem już wcześniej. Zakwalifikowanie do właściwej kategorii wymaga analizy. Z ostatniej wyprawy „przywiozłem" 16 wulkanów, ale jedynie połowa trafi do głównej tabeli.

Mija półmetek, trzynasty rok realizacji Projektu 100 Wulkanów. Czy zdobyłeś już połowę, czyli 50 z nich?

Nawet nieco więcej, bo 58 – w tym 40 aktywnych, na niektórych byłem wielokrotnie. W tabeli pomocniczej jest 120 pozycji.

NIGDZIE NIE JEST BEZPIECZNIE

Jaka jest definicja aktywnego wulkanu?

Każdy instytut wulkanologiczny ma swoją, a lokalne społeczności swoją. Są teorie, według których za aktywny można uznać taki wulkan, który wybuchł w ciągu ostatnich 10 tysięcy lat. Dla mnie jednak aktywny jest ten, co wybuchł w naszej erze, ale gdy erupcja była dawniej niż 500 lat temu, przechodzi w fazę uśpienia. Za wyjątkiem superwulkanów, których erupcje mogą następować nawet co 700 tysięcy lat. Z kolei autochtoni uznają za aktywne te wulkany, których erupcję pamiętają sami lub słyszeli o niej od swoich rodziców.

A ile jest na świecie aktywnych wulkanów?

I w tej kwestii źródła nie są zgodne – tym bardziej, że na dnie oceanów wciąż mogą znajdować się te nieodkryte. Szacuje się, że wszystkich aktywnych wulkanów jest na kuli ziemskiej pomiędzy 800 a 1200.

Jak przygotowujesz się do wyprawy?

Przede wszystkim teoretycznie, długo i bardzo starannie. W tej kwestii też jestem perfekcjonistą. Staram się zdobyć jak najwięcej informacji o wulkanach, które planuję zdobyć. Czytam książki, przeglądam gigabajty materiałów, analizuję zdjęcia satelitarne. Dobre przygotowanie procentuje, pozwala podczas wyprawy nie tracić czasu na „odkrywanie Ameryki". Natomiast kondycyjnie przygotowywać się nie muszę, gdyż wciąż dużo jeżdżę na rowerze, wspinam się, więc jestem w dobrej formie.

Czy są dostępne jakieś prognozy, pozwalające Ci przewidzieć aktywność wulkanu?

Żadne prognozy nie przewidują erupcji w sposób gwarantujący bezpieczeństwo. Wielu wybuchów w ogóle nie zwiastują typowe, „podręcznikowe" zjawiska: drobne wstrząsy sejsmiczne, większe ilości wydobywających się gazów czy deformacje krateru. Najlepszym tego przykładem jest wulkan Ontake w Japonii – aktywny, ale uchodzący za przewidywalny, więc często odwiedzany przez turystów, który w roku 2014 eksplodował tak nagle, że na jego stokach zginęło ponad 60 osób. Zawsze powtarzam, że nawet spacerowicze na Wezuwiuszu muszą się liczyć ze śmiercią. Oczywiście, na niektórych wulkanach prawdopodobieństwo wybuchu jest większe, na niektórych mniejsze, lecz absolutnie bezpiecznych, wśród aktywnych, nie ma.

Zdobywasz każdy wulkan od podstawy, czy starasz się podjechać jak najwyżej?

Różnie z tym bywa. Zazwyczaj próbuję dojechać tam, gdzie to możliwe. Koszty transportu pochłaniają znaczną część funduszy każdej wyprawy. Najczęściej wynajmuję samochód terenowy z kierowcą, który zawozi mnie we wskazane miejsce i wraca w umówionym terminie, po kilku dniach lub tygodniach. Oczywiście mam prowiant i ekwipunek na cały ten okres.

NOWY SPRZĘT NA KAŻDĄ WYPRAWĘ

Co ze sobą zabierasz?

Kask, rękawice, gogle, maskę, zapasowe pochłaniacze, termometr z sondą, czujnik tlenku węgla i laserowy miernik temperatury. To wszystko, bo nikt nie produkuje lekkiego sprzętu nadającego się na wulkany. Po każdej wyprawie wymieniam praktycznie cały dobytek, w tym aparaty fotograficzne i kamery, gdyż pył wulkaniczny, pomimo najszczelniejszych obudów, niszczy je szybko i bezpowrotnie. Podłoga namiotu po kilku nocach jest dziurawa jak ser szwajcarski, plecak po kilku dniach mam podarty, spodnie w strzępach, buty stopione. Na każdą wyprawę zabieram nowy sprzęt.

Co jest najtrudniejsze w zdobywaniu wulkanów?

Zdobywanie pozwoleń... *(śmiech)*. Na większość wulkanów wchodzić po prostu nie wolno. Przepisy są restrykcyjne, zakazy bezwzględne. Nawet naukowcy muszą się miesiącami starać o pozwolenia. Ja nie mam tyle czasu. Pokonanie przeszkód organizacyjnych, formalnych i prawnych potrafi być tak uciążliwym zadaniem, że wolę te przeszkody ominąć... Złapią mnie, albo nie. Dotychczas nie złapali... *(śmiech)*. Zakazy te nie są jednak bezpodstawne, gdyż mają chronić turystów, którzy próbują zdobywać wulkany bez najmniejszego przygotowania, wiedzy i doświadczenia. Wiele takich wycieczek zakończyło się śmiercią.

A oprócz barier formalnych, co na takiej wyprawie jest najtrudniejsze?

Wszystko zależy od wulkanu. Ostatnio, kiedy przedzierałem się przez las tropikalny na wulkan Poas w Kostaryce, pokonanie kilku kilometrów zabrało mi cztery dni. Na wulkanach zlodowaconych zdarzało mi się wpadać do szczelin, a ponieważ chodzę sam, więc ryzyko było poważne. Mam więcej szczęścia niż rozumu, bo nie tylko udało mi się samodzielnie wydostać, „otrzepać" i pójść dalej, ale także zdobyć zaplanowany szczyt. Przyznam z pokorą, że to było igranie z losem.

Co jeszcze?

Widywałem lawiny śnieżne, które jakimś cudem mnie omijały. Zjeżdżałem oblodzonymi żlebami po kilkaset metrów bez poważnych kontuzji. Zsuwałem się z lawinami rumoszu wulkanicznego, nie robiąc sobie krzywdy. Sam nie wiem, jak udało mi się wyjść bez szwanku z tych

Aaaaaaa aaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaa

Aaaaaaa aaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaa

wszystkich opresji. Czasem mam wrażenie, że czuwają nade mną jakieś nadprzyrodzone moce. Kuszę los straszliwie, a on wciąż jest dla mnie łaskawy. Ostatnio na wulkanie Fuego podszedłem zbyt blisko krateru i podczas erupcji przeżyłem bombardowanie kawałkami lawy. Dosłownie przeżyłem, bo gdyby jakiś trafił we mnie, to nie rozmawialibyśmy tu dzisiaj.

Niekiedy już sama wysokość bywa niebezpieczna. Dużo czasu spędziłem w rejonie najwyższych wulkanów świata – Ojos del Salado, Pissis, Lllullaillaco. Tygodniami nie schodziłem poniżej 6000 metrów n.p.m., a tam ryzyko wychłodzenia, odmrożeń czy choroby wysokościowej jest znaczne. Byłem sam, więc na żadną pomoc liczyć nie mogłem. A i wspinaczka po zboczach wulkanów bywa bardziej męcząca niż po utartych szlakach. Stoki klasycznych, stożkowatych stratowulkanów pokrywa sypki rumosz, sięgający niekiedy pasa. W takich warunkach pokonanie 500 metrów wysokości może trwać dziesięć godzin. Trudno się wtedy oprzeć wrażeniu buksowania w miejscu.

BYWAM PIONIEREM EKSPLORACJI

A jak już wejdziesz na wierzchołek, to co tam robisz?

Sam wierzchołek ma dla mnie znaczenie drugorzędne, chociaż bywa czasem wyzwaniem górskim, jak w wypadku trzykrotnego wejścia na obydwa wierzchołki Ojos del Salado – argentyński i chilijski, czy zdobycia trzech wierzchołków drugiego wulkanu świata – Pissis w Argentynie. Na niższych wulkanach interesują mnie przede wszystkim objawy ich aktywności. Szukam więc fumaroli, przez które wydobywają się gazy, szczelin i pęknięć, a także śladów erupcji i lawy. Mierzę temperaturę wyziewów wulkanicznych, sprawdzam wielkość krateru, jego obwód, średnicę, głębokość. Do tego fotografuję i filmuję – niekiedy jest to pierwsza dokumentacja tych miejsc. Zbieram też próbki skał, które wysyłam zaprzyjaźnionym naukowcom. Uważnie eksploruję też całą okolicę. Tam jeszcze można być pionierem eksploracji i odnosić sukcesy. Na przykład penetrując rejon wulkanu Ojos del Salado, najwyższego na Ziemi, dotarłem do pola geotermalnego położonego na wysokości 6500 metrów n.p.m. Jestem chyba jedynym człowiekiem, który ma stamtąd zdjęcia. Ustaliłem też, że najwyższym aktywnym wulkanem na ziemi jest Llullaillaco, na pograniczu Chile i Argentyny. Zaktualizowałem jego wysokość, która wynosi 6755 metrów n.p.m. Zresztą w przypadku najaktywniejszych wulkanów ona się często zmienia, np. Nowy Krater Południowo-Wschodniego Etny w ciągu dziesięciu lat urósł o około 300 metrów.

Schodzisz czasem także do wnętrza kraterów?

Tak, byłem nawet na dnie słynnego, aktywnego wulkanu Anak Krakatau na wyspie Jawa. To bardzo niebezpieczne zadanie, bo nie ma tam zupełnie powietrza do oddychania – tylko maska przeciwgazowa trzymała mnie przy życiu. Ale to było fantastyczne doświadczenie, a zebrane materiały absolutnie unikalne. Przypuszczam, że jestem pierwszym człowiekiem, który tam zszedł.

Jak tam jest?

Nieziemsko. Dosłownie, bo w kraterach aktywnych wulkanów z setek szczelin wydobywają się kłęby trujących gazów. Śmierdzi siarką, nie można tam wejść bez maski. Umrę, jeżeli mi spadnie lub źle ją założę. Czuję się tam jak na innej planecie. Temperatura wyziewów wulkanicznych sięga 500 stopni, muszę bardzo uważać i umiejętnie lawirować między nimi. A w chmurach gazu niewiele widać... Co więcej, za dnia nie widać też lawy w otworach. Dopiero nocą można zauważyć czerwoną poświatę. Fumarole dymią, gaz szczypie w oczy, więc muszę mieć założone gogle, które dodatkowo ograniczają widoczność. Wnętrze krateru pełne jest ruchomych skał, szczelin i rozpadlin. Muszę tam być maksymalnie skoncentrowany.

JESTEM GŁUPI

Nie boisz się?

Brakuje mi w mózgu bezpiecznika odpowiadającego za strach. Owszem, mam świadomość, że mogę zginąć. Wiem, że ryzykuję, ale nie zniechęca mnie to i nie powstrzymuje. Himalaiści mówią, że tylko głupi się nie boi. To znaczy, że jestem głupi. Nie czuję strachu i już, nic na to nie mogę poradzić. Przed każdą wyprawą powtarzam sobie: – Grzegorz, dbaj o siebie, nie szarżuj. A po powrocie stwierdzam, że znowu mi się nie udało... *(śmiech)*. Na wulkanach mam zupełnie absurdalne poczucie bezkarności i niezniszczalności, chociaż wiem, że za sekundę mogę już nie żyć. Na wulkanach chcę zajrzeć tam, gdzie rozsądek nie sięga, to jest silniejsze ode mnie.

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaaa

Jakim największym zagrożeniom musiałeś sprostać?

Wbrew pozorom nie tylko tym, związanym bezpośrednio z wulkanami, jak nagłe erupcje, kruche skały, czy bombardowanie odpryskami lawy. Spotykałem tygrysy, znajdowałem jadowite węże i skorpiony w namiocie. Piłem wodę niezdatną do picia, doświadczyłem ślepoty śnieżnej, odmrożeń i huraganowych wiatrów.

Zdarzyło Ci się kiedykolwiek uciekać?

Tak, nawet ostatnio, na wulkanie Fuego w Gwatemali. Ale nigdy nie uciekałem daleko i na długo. Zawsze wracałem.

Aaaaaaa aaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaa

A zdarzyła Ci się jakaś porażka?

Na wulkanach? Nie. Zawsze realizowałem plan w pełni, a zwykle z nawiązką. Procentuje mój perfekcjonizm, doświadczenie oraz samotność. Znam w środowisku wspinaczy ludzi, którzy jeżdżą w kółko na te same wyprawy, próbują zdobyć te same szczyty i za każdym razem im się to nie udaje. Dla mnie to rzecz niepojęta. Poza tym sam zarabiam na wyprawy, więc nie stać mnie na ich powtarzanie.

Dlaczego tak cenisz sobie samotność?

Bo nikt nie jest w stanie sprostać zasadom panującym na moich wyprawach. Mogę nie spać przez kilka nocy, nie jeść i nie pić przez kilka dni, tylko wędrować w tym czasie bez przerwy. Nie przeszkadzają mi wiatr, deszcz i śnieg. Zniosę wszystko, by zdobyć wulkan. Nie znam nikogo tak zdeterminowanego. W grupie zawsze znajdzie się ktoś, kto jest zmęczony, obolały, głodny, niewyspany lub zniechęcony pogodą. Dlatego tyle wypraw się nie udaje. Decyzję łatwiej podjąć samotnie, bez nieporozumień i różnicy zdań. Mój projekt ma szanse na sukces pod warunkiem, że będę realizował go sam, chociaż wiem, że to ryzykowne. Jakiekolwiek zasłabnięcie oznacza śmierć. Jeżeli skręcę kostkę gdzieś na odludziu, nie doczołgam się do punktu, gdzie za dwa tygodnie ma przyjechać po mnie samochód. Dawniej nie było mnie stać na telefon satelitarny, więc nie miałem łączności. Dziś nadal mi szkoda pieniędzy na taki wydatek, ale mógłbym sobie na ten luksus pozwolić. Nie chcę jednak, bo cieszy mnie świadomość, że wszystko zależy ode mnie, na nikogo nie mogę liczyć, muszę samodzielnie wybierać optymalne strategie. Stawka jest wysoka, każdy błąd może być ostatni, a to bardzo wyostrza zmysły. Ten projekt bardzo mnie rozwinął. Poznałem samego siebie, wiem, jak reaguję w ekstremalnych sytuacjach, to bezcenne doświadczenie. Podoba mi się i wciąż chcę więcej.

NA 6000 METRÓW WCHODZĘ „Z BUTA"

Twój organizm bez sprzeciwu znosi tak intensywną eksploatację?

Tak, na górę o wysokości do 6000 metrów n.p.m. jestem w stanie wejść „z buta". Jestem odporny na głód, pragnienie, zmęczenie, zatrucia, kontuzje. Badania to potwierdzają. Znajomi mówią o mnie cyborg... *(śmiech)*.

Masz swoje ulubione wulkany?

Nie, lecz mam swoje ulubione rejony. Gdyby ktoś chciał zobaczyć na Ziemi Księżyc, polecam interior Islandii, czarną pustynię z wulkanami i lodowcami. A gdyby ktoś chciał zobaczyć, jak wygląda Mars, zapraszam na płaskowyż Altiplano i Atacama – czerwona bezkresna przestrzeń, stożki wulkaniczne, lodowce, jeziora wysokogórskie – fascynujące miejsca.

Co uważasz za swój największy sukces?

Tylko jeden? Było ich tyle... *(śmiech)*. Pionierskie zejście do wnętrza wulkanu Anak Krakatau, samotne zdobycie dziewięciu sześciotysięczników w Andach, pierwsze polskie i jedno z niewielu w historii wejście na bardzo niebezpieczny wulkan Popocatepetl (5424 m n.p.m.) w Meksyku. Mógłbym tak jeszcze długo... Największą satysfakcję jednak sprawia mi świadomość, że nikt na świecie nie ma takiego doświadczenia jak ja. Jest kilka miejsc, w których byłem pierwszym człowiekiem, a to trudne nawet w Himalajach. Gdybym urodził się 30 lat wcześniej, postawiłbym zapewne na eksplorację gór najwyższych, lecz teraz nie ma tam już dla mnie miejsca, bo niemal wszystko zostało zdobyte. Wejście jako tysięczna osoba na ośmiotysięcznik mnie nie pociąga. A na wulkanach wciąż mogę czuć się jak Roald Amundsen. Znam ponad stu wulkanologów, w tym wielu bardzo doświadczonych, lecz żaden nie był na tylu wulkanach co ja. Większość pracuje w laboratoriach, ma dostęp do najlepszych, płatnych zdjęć satelitarnych i monitoruje wulkany z daleka. Nie wszystko jednak mogą zbadać na odległość, dlatego tak często proszą mnie o fotografie i próbki. A gdy już zorganizują wyprawę, to kosztuje majątek.

A ile kosztowały Twoje?

Najdroższa 60 tysięcy złotych, najtańsza z większych – 15. Sprzętu nie liczę.

Sam je finansujesz?

W większości tak. Kilka sklepów mnie wspiera, w tym firma Spokey, której jestem ambasadorem. Iexpert Insurance Sport zapewnia mi ubezpieczenie „Bezpieczny Powrót". W 2015 roku na Kolosach w Gdyni otrzymałem nagrodę imienia Andrzeja Zawady, dzięki której mogłem częściowo sfinansować jedną z wypraw. Każda pomoc jest cenna i bardzo za nią dziękuję. W Polsce jednak zdobywanie sponsorów jest trudne i czasochłonne, więc wolę ten czas przeznaczyć na samodzielne zarabianie pieniędzy. Na razie Antarktyda czy Aleuty są poza moim zasięgiem, lecz kilkanaście lat temu nie wierzyłem, że będę mógł realizować projekty wyprawowe na taką skalę jak obecnie. Dlatego jestem optymistą...

Czy listę 40 wulkanów, które zostały Ci do kompletu, masz już gotową?

Nie. Wiem tylko, które rejony chciałbym jeszcze odwiedzić: Kamczatkę, Alaskę, ponownie Oceanię i Indonezję. Cztery i pół wulkanu przypadające statystycznie na ten rok mam „zaliczone", więc następne cztery i pół może spokojnie poczekać. ▌

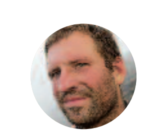

Grzegorz Gawlik

38 lat, urodzony w Piekarach Śląskich podróżnik, alpinista i zdobywca wulkanów, dziennikarz, fotograf, prawnik. Odwiedził blisko sto państw, często wspina się i podróżuje samotnie. Organizuje też wyprawy komercyjne. Prowadzi stronę: www.grzegorzgawlik.pl.

Jakub Terakowski

Był na wszystkich kontynentach, Polskę przeszedł z Gdańska na Rysy i ze Świnoujścia na Hel (wielokrotnie). Wytyczył Ekstremalny Szlak Szarlotek Tatrzańskich. Mieszka w Krakowie i Gdańsku, więc nie wszystko, co kocha, jest w górach...